

Kabaret

Autor recenzji: Marcel Biszczak

Choć „Kabaret” Boba Fosse’a został nakręcony ponad pół wieku temu i opowiada o latach 30. XX wieku, ogląda się go jak opowieść o współczesności. W świecie, w którym radykalizm zyskuje na popularności, a ludzie szukają chwili wytchnienia w zabawie, szczególnego znaczenia nabiera pytanie, kto w takim świecie potrafi pozostać sobą. Mój bohater to Brian Roberts - młody angielski intelektualista, który mimo tego, że z początku daje się wchłonąć światu i jego pokusom, pozostaje sobą, balansując między wiernością własnym zasadom a beztronską dekadencją.

Brian przyjeżdża do Berlina i poznaje Sally – tancerkę i szansonistkę z muzycznego klubu KitKat, w którym „życie jest piękne”. Młodzi szybko zakochują się w sobie i tworzą nieformalny związek. Już od pierwszej ich wspólnej sceny czułem, że Sally i Brian nie pasują do siebie. On – intelektualista z Cambridge, który jest w trakcie pisania doktoratu z filozofii. Z kolei ona – tancerka z klubu muzycznego KitKat, snująca oderwane od rzeczywistości marzenia o osiągnięciu czegoś wielkiego jako aktorka. Mówi się, że przeciwieństwa się przyciągają, ale w kontekście ich relacji ta siła była jednocześnie ich największym przekleństwem.

Z początku Brian ulega zmysłowej Sally i zostaje wchłonięty przez świat kabaretu. Z czasem dostrzega powierzchowność jej uczuć i niedojrzałość. W kulminacyjnym momencie przestaje się oszukiwać i zdaje sobie sprawę, że dla niej ważniejsza jest kariera i ucieczka w artystyczną iluzję, niż budowanie trwałej relacji i przyszłości. To bolesne odkrycie sprawia, że Brian dojrzeewa i podejmuje decyzję o powrocie do Anglii. Ten moment to prawdziwa próba charakteru dla głównego bohatera. Wybiera on wyjazd, czyli prawdę, zamiast iluzji, i odpowiedzialność, zamiast beztronskiego trwania w utopijnym świecie.

Lata 30. ubiegłego wieku w Niemczech to czas, w którym naziści, najpierw niepostrzeżenie, a potem coraz brutalniej wkraczają w życie mieszkańców Berlina. Przerażające jest, że ta ideologia znajduje społeczną aprobatę. Nienawiść nazistów widać nie tylko w propagandowych filmach czy ulotkach rozdawanych na ulicach, ale także na niemieckiej prowincji, w rozmowach przy piwie i w rodzinnej atmosferze. Kiedy młody, jasnowłosy chłopak w mundurze Hitlerjugend zaczyna śpiewać piosenkę „Tomorrow belongs to me!”, prawie wszyscy obecni wsłuchują się w jego młodzieńczy, odważny głos i wstają,

żeby dumnie przyłączyć się do podniosłego śpiewu o tym, że jutro należy do nich. W tym samym miejscu znajduje się Brian ze swoim znajomym Maximilianem. Z początku obaj siedzą przy stoliku zdezorientowani i obserwują całą sytuację. Jednak po chwili, kiedy prosta piosenka przeradza się w diaboliczny hymn, nie pozostają obojętni wobec narastającej euforii tłumu i opuszczają piknik. Najbardziej poruszające było dla mnie to, że Brian nie utożsamia się z tłumem poprzez wspólne śpiewanie, tylko symbolicznie odcina się od tej ideologii, która podbija serca ludzi, pokazując tym samym swoją moralną czujność i dystans wobec narastającego fanatyzmu. Wsiadając do auta, Brian nawiązuje do wcześniejszej rozmowy, w której Maximilian nazwał nazistów „bandą głupców” i zapewniał, że oni „najpierw pozbędą się komunistów, a potem ich oswoimy”. Pyta kolegę wprost, czy on nadal w to wierzy.

Brian nie jest postacią jednoznaczną. Jego zachowanie budziło we mnie niepokój, bo widziałem, jak daje się porwać beztrósce Berlina i oddala się od tego, kim wydawał się na początku. Jednak wraz z rozwojem akcji dostrzegłem toczącą się w nim wewnętrzną walkę i brak zgody na świat, który zagrożenie maskuje groteską. On zdobył się na autorefleksję i podjęcie decyzji o wyjeździe ze świata ogarniętego fanatyzmem. Mimo że prywatnie ponosi klęskę, ponieważ wyjeżdża i nie będzie ojcem dziecka Sally, moralnie odnosi zwycięstwo, ponieważ w świecie masek bohaterem jest ten, kto ma odwagę ją zdjąć, nawet jeśli oznacza to samotność i utratę wygodnych złudzeń.